

ALFRED SIATECKI



Alfred Siatecki

FETA

© Copyright by Alfred Siatecki & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan + AI

ISBN e-book: 978-83-8166-490-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Ten e-book jest zgodny z wymogami
Europejskiego Aktu o Dostępności (EAA).

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2025

Im bardziej wszystko rozkopane,
tym większą działalność ojca miasta oznacza.

Mikołaj Gogol, Rewizor

Wróciłem w samo południe. I poczułem smród. Jeszcze bardziej drażniący nos niż wtedy, kiedy stąd wyjeżdżałem.

Dwa razy uciekałem z tego zadupia do zupełnie mi nieznanych, za to większych miast, ostatnio do Zielonej Góry, gdzie jest teatr dramatyczny i lalkowy, filharmonia w poniemieckim domu kościelnym, kuria diecezjalna w dawnym więzieniu, redakcje, kabarety, odnowione kamieniczki wokół przysadzistego ratusza, w nich restauracje: meksykańska, gruzińska, włoska, czeska, niemiecka, indyjska, autobusy pomalowane na żółto-biało-zielono, wzgórze z prawdziwą winnicą i jedyną w kraju palmiarnią, skąd rzut kamieniem do multikina i setki sklepów w fabryce przerobionej na galerię handlową. Za rogatkami miasta są dwa lotniska, a niektórzy upierają się, że cztery, bo wojskowe z pasażerskim i sportowe z sanitarnym. Zawsze uciekałem z nadzieją na zmianę swojego losu, żegnając wielką, okopconą, cuchnącą zjełczałym piwem, szczynami i stęchlizną stację prawie w połowie drogi z Gorzowa do Berlina, rozłupującą mieścinę na dwie nierówne części. Większą starsi miejscowi nazywają Zabuzem, młodszy Zatorzem, mniejszą – Starym Miastem, gdzie zawsze były wszystkie ważne urzędy. Po wielu latach dobrowolnej włóczędzy, udawania podpanka

i kapitulowania bez powodu znowu stoję odwrócony plecami do ponurego gmaszyska, zastanawiam się i nie wiem, naprawdę pierwszy raz nie wiem, dokąd iść.

Poczułem wibrację w kieszeni spodni. Chwilę później smartfon odezwał się melodyjką z filmu „Desperado”, który oglądałem chyba z pięć razy, a ostatni raz wczoraj wieczorem. Postanowiłem być jak Antonio Banderas, to znaczy jak filmowy El Mariachi. Aha, znowu jestem komuś potrzebny. Komu? Zerknąłem na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Nie ma mnie dla nikogo, skurwysyny! – krzyknąłem. To znaczy sam wrzasnąłem do siebie. – Tamto, co było jeszcze wczoraj, przestało istnieć. Zaczynam od nowa na starym miejscu.

Zaraz pójść do galerii handlowej, kupię sobie nowe ciuchy, żeby nic mi nie przypominało przeszłości, a te spałę, ale zrobiło mi się żal wranglerów, koszuli kupionej w sklepie firmowym Pako Lorente, wiatrówki uszytej w Bangladeszu z materiałów dostarczonych przez Decathlon i sneakersów New Balance.

– Czy pani może mi wskazać drogę do najbliższej galerii handlowej? – spytałem kobietę w modnej ostatnio ramonesce i prążkowanych leginsach na za grubych nogach.

– Ja mam w zwyczaju ubierać się w NoVaPark. Jeśli tam czegoś nie dostanę, to jadę do Askany lub do Kaskady. A jeśli i tam nie ma tego, czego szukam, wtedy walę do Berlina.

- A ta galeria... NoVaPark, tak...? Jak tam dojść?
- Chce pan iść do Gorzowa? – roześmiała się.
- Aha, to NoVaPark jest w Gorzowie?
- Oczywiście – potwierdziła jeszcze bardziej zdziwiona.
- U nas tylko lumpeksy, szmateksy i butiki z ciuchami dla starych bab.

Miałem jedno wyjście: chodzić w tym, w czym przyjechałem, a to nie było po mojej myśli.



Wcale nie musiałem wysiadać z pociągu w rodzimej mieścinie. Mogłem kupić bilet do Chojny, Witnicy, Skwierzyny albo jeszcze dalej, na przykład do Strzelec, gdzie nikogo nie znam. Wszędzie będę przybłądą i kandydatem na aplikanta, nieudacznikiem, na którego nie zechcą zerknąć wścisi właściciele miejscowych firemek, prezesi zarządów niepotrzebnych spółek, absolwenci niepublicznych szkół i gloryfikowani bohaterowie cudów miasteczkowych. Nie wiem dlaczego, ale jestem pewny, że wszędzie będzie czekała mnie odmowa, gdy błagalnie poproszę o legowisko choćby na wyzębionym, wilgotnym i zarobaczonym poddaszu w domu do rozbiórki. A jeśli wyskamlam pokoik sublokatorski, to za co kupię tapczanik, nawet taki wytarty do gołych sprężyn, i telewizor, choćby od dawna nieużywany, szafę na ubrania, stół, krzesło i fotel dla gości? Nie przysługuje mi kredyt bankowy, bo już raz ślubowałem wierność małżeńską, a że ta, której to gwarantowałem, mnie zdradziła, nikogo nie obchodzi. Każdy powinien być panem swego losu czy jakoś podobnie. Może więc iść do wuja lub do brata? Jednemu i drugiemu paść do nóg, prosić o przebaczenie, obiecywać poprawę i przysięgać, że nigdy więcej nie ruszę w świat bez błogosławieństwa rodziny? Pobłogosławiony dostaje rozgrzeszenie, a jego winy przestają być winami i stają się cierpieniem. Cier-

piących i niepokornych nikt nie ma prawa karać. Takie prowadzenie przez życie jest wystarczającą karą.

Wybrałem los czeladnika wbrew sobie i na ślepo, a wydawało mi się, że to los szczęścia. Dwa razy zaczynałem i dwa razy odkrywałem szachrajstwo, dochodziłem przynajmniej do połowy drogi, i dwa razy obiecywałem, nie sobie, lecz tak w ogóle, że to na pewno ostatni raz. Teraz trzeci raz. Zanosi się na koniec mojego wyrażnie za długiego terminowania, bo jestem mocno przzerośnięty jak na debiutanta.

I oto stoję tu, skąd umknąłem. Stoję i boję się zrobić następny krok. Widzę baner na ścianie budynku poczty: „Trzeba grać, żeby wygrać! Kup los loterii Błyskawica!”

Kupiłem. Pusty. To i stąd uciekać?

Nie!

Idź prosto przed siebie i kłaniaj się nawet nieznanym, mów im „dzień dobry”, trzymaj głowę wysoko i się śmiej. Odszukaj plecioną kołyskę, w której już wtedy myślałeś o ucieczce. Tu jest twoje gniazdo, rozbebeszone i poszarzałe, ale przecież po to wróciłeś, żeby je naprawić i już nigdy nie porzucać. Tak do mnie przemawiał nie aplikant, a prowincjonalny mędrzec. Mimo że byłem synem marnotrawnym, nagle poczułem się jak bocian, właśnie jak żabojad na wiosennej łące, jeszcze podmokłej, lecz już pachnącej wiechami, gronami, koszyczkami, baldachimami i co tam jeszcze na niej zakwitnie.

Stało się.

Wbrew sobie przyfrunąłem do gniazda, z którego wiele lat temu samotnie wyruszyłem w obcy, wielki i absolutnie całkiem nieznan mi świat. A w tym świecie lepszym, bo tylko o takim zawsze śniłem, stanąłem samiuśku na ochotnika przed ciasno obleganą drabiną inteligenckiego awansu, która musiała mieć mocno spróchniałe dolne szczeble, gdyż dwa razy po niej się wspinałem i dwa razy spadałem, najpierw na lewy, potem na prawy bok. Oczy miałem podbite, ubranie podarte, buty wykoślawione. Leżałem bez siły i się zastanawiałem, czy wszystkie sny na pewno się sprawdzają. Dopiero teraz wiem, że nie. Wiem również, że kimałem w za krótkim, za ciasnym, za twardym łóżku, które było tylko dla takich jak ja.

A czy to nowe-stare legowisko będzie akuratne? Ludzie od dawna nie radzą sobie z ciężarami życia i dlatego ci bardziej przebiegli, wymieniając łóżka na miękkie i szerokie tapczany, wierzą w poprawę losu. Albo biorą nogi za pas. A jedynie pogodzeni ze sobą znoszą trudy świadomego trwania w niewygodzie.

Zupełnie zapomniałem mieściny. Ostatni raz byłem tu na pogrzebie matki: przyjechałem porannym pociągami, odjechałem po południu; pogniewany uciekłem bez pożegnania z bratem i wujem. Nie, wróciłem jeszcze raz, po odpis metryki. W sublokatorskim pokoiku napisałem prośbny list do czcigodnego burmistrza mieściny, w którym skamlałem o ten dokument. Czekałem upalny tydzień, deszczowy miesiąc, wyglądałem listonosza, dwa

razy dziennie nosiłem goździki do panienki w urzędzie pocztowym. Burmistrz nie przysłał ani odpisu metryki, ani nie odpowiedział, dlaczego lekceważy mnie, absolwenta miejscowej podstawówki, wykształconego na polonistę, bo i podałem ten drobny szczegół. Przyszły teść groził zerwaniem zaręczyn, prawie teściowa już zamykała drzwi przede mną, Aleksandra chciała się truc, wsiadłem więc do pierwszego pociągu, jaki jechał w kierunku Szczecina i po dwóch godzinach podróży z oczami wypuszczonymi w ulicę uciekającą ze skweru do parku stanąłem w tym samym miejscu co teraz. Była miedziana jesień, a drzewa identycznie jak teraz otrzępywały się ze zrumienionych liści. Piętnaście minut później, ciesząc się, czytałem na głos odpis metryki oklejony paskiem znaczków skarbowych. Obok wiśniowego odcisku okrągłej pieczęci był zamaszysty podpis urzędniczeki, jej imię i nazwisko. Dobrze to zapamiętałem, aż za dobrze. Od tamtego dnia coraz częściej zacząłem spadać na ziemię i na oślep szukać swojego miejsca.

Teraz nie chodzi mi o odpis dokumentu ani o żaden inny papier, bez którego człowiek, nawet jak ja – z dyplomem magistra filologii polskiej, niewiele znaczy. Potrzebne mi legowisko, taka ciupinka z okienkiem na stację, na bzy dziko rosnące przed budynkiem, który kiedyś był kinem Odra, abym mógł patrzeć na kisz-kowate uliczki, przypominać sobie błędy i grzeszki popełnione w szerokim świecie, a potem wzbić się wysoko

nad głowami tutejszych dyrektorów, prezesów, komendantów i wszelkiego innego dostojęstwa. Jeśli się uniosę, będę uradowany, może nawet szczęśliwy i zadowolony z wyboru wbrew sobie. Zresztą nie miałem innego wyjścia, jak wrócić tam, gdzie się urodziłem. A jeśli przez szkła okularów w złocistej oprawie, które sobie sprawilem w tym wielkim świecie, potrafię rozpoznać swoich wrogów i nazwę ich po imieniu, na pewno nie pożałuję powrotu.

Przysiadłem na odrapanej ławce, wbiłem pytający wzrok w nieruchome wskazówki stacyjnego zegara i w kinie pamięci próbowałem wędrować uliczkami mojej mieściny. Ale zamiast kameralnego i sentymentalnego włóczęgostwa jeszcze było we mnie pełno pytań z wielkiego świata. Choćby takie: czy byli szczęśliwi Dostojewski, Kierkegaard, Kafka, Woolf, Poe, Lovecraft, Morrison, Plath, Lenon, Jackson, Winehouse, Versace i dziesiątki uznanych za wielkich, którzy umierali tragicznie? Podobno nikogo się nie lękali, a przy tym szydzili z intryg, kłamstw i wrogów. Póki żyli, nie obawiali się wielkich ani tym bardziej małych nikczemników, ale dopiero w godzinie śmierci zaczynali się bać, że za mało po nich zostało. Umierali nieszczęśliwi. Ja o czym? Tu i teraz o umieraniu? Dawno przekroczyłem lata chrystusowe, co nie znaczy, że już mam czekać na śmierć bez prawa do życia pełną piersią. Pal sześć przeszłość! Co się stało, to się nie odstanie.

Kto ma mnie za psychola, ten jest w błędzie. Zresztą żaden psychiatra, a rozmawiałem z kilkoma, nie da

gwarancji, że ten, który uważa się za normalnego, na pewno jest normalny. W najtrudniejszej sytuacji bywają ci, którzy nie chcą dalej żyć tak jak dotąd, ale czy dlatego są psycholami?

Naprzeciwnie ponurego stacyjnego gmaszyska, między tasiemkami uliczek oplatających pagórkowaty skwer, stało samotnie drzewo – lipa miododajna – szerokie w biodrach, jakby to była krzykliwa przekupka handlująca czym popadnie. Do niego zawsze przybijano tak drobne, jak i całkiem poważne ogłoszenia. Lubiłem czytać tę miasteczkową jednodniówkę, taki ekspres lokalny, za który nic się nie płaciło, a który zawierał najświeższe i najprawdziwsze wiadomości. Wiedziałem, kiedy i gdzie straż pożarna urządza zabawę taneczną z bufetem obficie zaopatrzonym, kto umarł i kiedy pogrzeb, z kim gra Fagal w piłkę nożną, za ile można kupić składak marki Wigry 5 do niewielkiej naprawy, komu zginęła koza, komu króliki, po ile są jajka, kto odda psa w dobre ręce, kto kocięta. Wtedy samotne drzewo naprzeciwnie stacji nie było li tylko lipą miododajną, lecz i najżywszym, najtańszym i przy tym najprawdziwszym źródłem wiadomości codziennych, jakiego odtąd już nie spotkałem.

Na długiej przerwie wymykaliśmy się ze szkolnego placu na przedstacyjny skwer, skąd było widać szkołę i słyszeć dzwonek, paliliśmy sporty, klubowe, popularne, wiarusy albo skręty z liści i błędąc, wymiotowaliśmy pod drzewem. Na skwerze było najweselej i tam, póki

na wrotach starej remizy nie przybito tabliczki z informacją, że tu się znajduje skup opakowań szklanych, walało się najwięcej butelek. Punkt szybko przeniesiono na Zatorze razem z tabliczką przemalowaną na punkt odbioru i gromadzenia surowców wtórnych. Więc zadowoleni zbieraliśmy na skwerze te niczyje i w pośpiechu wyrzucone butelki po czystej, stołowej i vistuli, rzadziej po żytnej z kłoskiem, po winie słodkim owocowym białym, po piwie jasnym, w których kąpały się pijane muchy, i z wypiekami na podrapanych policzkach, jak uczniowie szabrowników cmentarnych marmurów, pędziliśmy na Zatorze. A stamtąd do Spółdzielczego Domu Towarowego „Odra”, gdzie zaraz za drzwiami było stoisko spożywcze, przed południem sprzedające przede wszystkim chleb i bułki, ale my kupowaliśmy landrynki. Uważaliśmy te dni za najszczęśliwsze. Mimo że podczas religii proboszcz tłumaczył nam, czym się różni dobro od zła i zawsze straszył piekłem, nikt z nas tym się nie przejmował. No, może dziewczyny.

Oprócz domu towarowego Odra w miasteczku był hotel Odra z kawiarnią i lodziarnią, na wprost restauracja Odra, towarzystwo przyjaciół zabytków Nad Odrą, spółdzielnia inwalidów Odra, a także Państwowe Przedsiębiorstwo Wyrobów z Wikliny „Odra” i Nadodrzańska Fabryka Mączki Kartoflanej. Na zmianę z Międzynarodowym Plenerem Malarskim „Po obu stronach Odry” co dwa lata odbywał się przegląd muzyki Ostre Granie nad Odrą, organizowany przez

zespół śpiewaczy Fale Odry. Każdej jesieni wędkarze zjeżdżali z całego regionu, żeby tam, gdzie rzeka skręca na północ, rywalizować o złoty kołowrotek czy spinning Odry. Odrę w nazwie miał chór mieszany przy kasynie garnizonowym, tamtejsi brydżyści, szachiści i chyba modelarze. Chusty harcerzy należących do tej drużyny, do której zapisała mnie mama, zdobiła błękitna wstęga Odry, dlatego wiosną i jesienią ze śpiewem maszerowaliśmy nad rzekę, żeby pozbierać gazety, butelki, szmaty, zardzewiałe miski i inne paskudztwa, co było syzyfową pracą, gdyż zanim ktoś w Prezydium Miejskiej Rady Narodowej zdecydował o wywiezieniu śmieci na wysypisko, wiatr rozniósł je po łące. Śmialiśmy się, że miasto leży nad Odrą, ale utrzymuje je Fabryka Garnków Aluminiowych „Fagal”, kierowana przez dyrektora Wyrwidęba, który podobno znał się z jakimś ministrem. Oprócz niewielkiego kina Odra w kasynie garnizonowym, gdzie wyświetlano filmy w poniedziałki, kiedy załoga kina szerokoekranowego Fagal miała wolny dzień, w mieście było osiedle Fagal, przychodnia lekarska Fagal, klub piłkarski Fagal, przystań żeglarska Fagal i przy niej wypożyczalnia kajaków, koło myśliwskie Fagal, pracownicze ogródki działkowe Fagal i fabryczny sklep firmowy z garnkami odrzuconymi przez kontrolerów jakości. Ponadto raz w miesiącu ukazywało się „Echo Fagalu”.

Wspominkowym wzrokiem wędrowałem po skwerze, gdzie nie leżała nawet jedna butelka, za to między

krzaczkami przekwitniętych róż kryły się opakowania po laysach, knoppersach, snickersach i kitkatch, prezerwatywy z wypustkami i bez, podpaski, pieluchy, jednorazówki z Żabki. Ławki były pomalowane na żółto i jeszcze nie wszystkie szczerbate, znajdowały się na nich imiona dziewczyn i serca wyryte gwoździem lub wycięte nożem. Stałem tak i przekonywałem sam siebie, że muszę nabrać siły, orzeźwić się, aż tu słyszę:

– Powiem tak: nasz Fagal nie da rady Czarnym. Kurwa, za wysokie progi. Co innego z Kasztelanią. Jak mi Bóg miły, jej wpierdoli. Musi, bo jak nie...

– Takiego chuja. Kasztelania niedługo będzie w trzeciej lidze. Mają takiego sponsora, że no... kurwa, mucha nie siada.

– Jak Fagal nie wygra z Kasztelanią, to jeszcze z kim może wygrać? No...? Najwyżej ze Spójnią albo z Celulozą?

– Ze Spójnią? Założym się o bociana, że Spójni Fagal też nie da rady? Za cienki boleć. Co innego z Celulozą. Słabizna jak chuj nad ranem.

Też się zakładałem, nie o pół litra wódki, a o piwo jasne pełne lub paczkę klubowych z ustnikiem. Częściej przegrywałem, niż wygrywałem. Wtedy, kiedy przegrywałem, długo czatowałem na skwerze, żeby upolować sześć butelek, zanieść je do punktu skupu na Zatorze i oddać dług w honorowym terminie. Prawdę mówiąc, to rzadko miałem szczęście; jeśli wygrywałem, to w loterii książkowej, i nigdy niczego nie znalazłem. Gubiłem noże, ołówki, kilkakrotnie po pięćdziesiąt

groszy, które miałem na bułki, raz to książkę i zeszyt do przyrody. Taki jestem do dziś, no może do wczoraj, bo przecież trzeci raz ubiorę się w uniform aplikanta, a – jak tłumaczył mój szef w redakcji – do trzech razy sztuka i *Auf Wiedersehen*, co odpowiada polskiemu „do widzenia”, ale znaczyło „wynocha”. Gdy byłem pewny zwycięstwa Odry z Browarem (zmiana nazwy na Fagel była później), wtedy właśnie przegrywała ona i ja. Później, w siódmej lub już w ósmej klasie, zmądrzałem: zakładałem się tylko z młodszymi od siebie, ale i z nimi nie zawsze wygrywałem. To na złość całej szkole przestałem podejmować jakiegokolwiek zakłady i w niedzielę po południu nie pędziłem na boisko za torami w zatorskiej części miasteczka. Dopiero kiedy w powszechnym czynie społecznym, jak się mówiło na to, za co nikt nie dostawał pieniędzy, nad brzegiem przewiełbnej Odry zbudowano stadion im. 22 Lipca, okolony betonowym płotem, to znaczy barak i trzy rzędy ławek po obu stronach boiska, po raz drugi zostałem przyjęty do paczki kibiców, ale znowu nie na długo. Siła wyższa chwyciła mnie za uszy i bez słowa wyjaśnienia usunęła z tego towarzysza. Zresztą już byłem w ósmej klasie i specjalnie się tym nie przejąłem, tym bardziej że zaczęły mi się podobać niektóre dziewczyny z naszej klasy, a najbardziej Mila, której matka twierdziła, że jest nie tylko ładna, lecz i mądra, dlatego musi dobrze wyjść za mąż za wojskowego.

W miasteczku zawsze była Szkoła Podstawowa im. gen. Karola Świerczewskiego „Waltera” (teraz Marszałka

Józefa Piłsudskiego) i Branżowa Szkoła Zawodowa I stopnia o specjalności ogólnotechnicznej (dawniej zawodówka przy Fabryce Garnków Aluminiowych „Fagał”). W ósmym roku mordęgi edukacyjnej zapragnąłem zostać uczniem tej szkoły, po skończeniu której miałem stać się kimś bardzo ważnym i bogatym. Najważniejszy wydawał mi się proboszcz, potem dyrektorka szkoły i komendant komisariatu milicji, starszy sierżant Oliwa, któremu zawsze mówiłem „dzień dobry”, ale on nigdy mnie nie dostrzegał albo nie słyszał. Kiedy komendant posądził mojego wuja o to, że słucha antypolskiego Radia Wolna Europa zamiast wieść obowiązkowe dostawy zboża, ziemniaków i żywca do punktu skupu, obraziłem się na niego i przestałem mu się kłaniać. Razem z Kazikiem Biskupem chcieliśmy zostać księżmi, bo naszym wzorem do naśladowania wtedy był proboszcz, więc powiedziałem mamie, że najpierw zostanę proboszczem i może nawet papieżem jak Jan Paweł II, a kiedy Piłat mnie osądzi, Żydzi ukrzyżują, prosto z krzyża anioły wezmą mnie do nieba. Już wtedy podobало mi się zalegalizowane nicnierobienie, dostojne paradowanie w sutannie, pod którą można nie nosić spodni i majątek, spowiadanie grzeszników z mojej klasy, wyciąganie ręki po pieniądze według kanonu „co łaska”, ale nie mniej niż dwieście złotych za pogrzeb, za ślub pięć razy tyle dla mnie i stówka do podziału między organistę i kościelnego. Już bym może i przebrał się w mundurek kleryka, gdyby proboszcz nie rznął mnie

tym patykiem, który sam mu przyniosłem. Czy to moja wina, że oglądałem książeczkę z panienkami rozebranych od pasa w górę i w dół, którą Wańka tylko na jeden dzień wypożyczył od starszego brata celnika, żeby nam pokazać, co mają dziewczyny tam, gdzie my mamy siusiaki? Oglądanie przypadło na mnie akurat podczas religii. A matce Kazika Biskupa wikary powiedział, że jej syn może uczyć się w seminarium i zostać księdzem, ale pod warunkiem że zmieni nazwisko na Kowalczyk lub Nowakowski albo na jeszcze bardziej polskie, na przykład Kaczyński.

– Swoi będą mówili „ksiądz Biskup”, a obcy wezmą go za prawdziwego biskupa – wyjaśnił, z czym matka Kazika się zgodziła. Kazik skończył zawodówkę dla murarzy, założył firmę budowlaną i żyje lepiej niż niejeden ksiądz.

Postanowiłem więc spełnić oczekiwanie wujka, czyli zostać weterynarzem. Szczepiłbym psy i koty, kastrował buhaje, tryki i knurki, gdyby nie to, że w proboszczowym sadzie wziąłem krowę za rozjuszonego byka i dałem dyla przez płot tak nieszczęśliwie, że wpadłem prosto w ręce wikarego. Mama uważała, że najlepiej będzie, jeśli zostanę lekarzem nie od zwierząt, a od wrywania i wstawiania zębów. Jej zdaniem dentystów nigdy nie ma za dużo, dlatego każdy stomatolog śpi na pieniądzach. Najpierw jednak muszę skończyć liceum, zdać maturę i jeszcze, co najtrudniejsze, dostać się na studia medyczne. Zimą wybierałem inne zawody, na przykład komentatora meczów w radiu i telewizji,

nauczyciela gimnastyki, artysty malarza jeszcze sławniejszego niż Matejko, piłkarza, burmistrza, nawet ministra, chociaż słyszałem, że to trudna sprawa, bo trzeba umieć długo i tak nawijać, żeby ludzie bili brawo, a ja byłem lepszy w pisaniu niż w gadaniu. W gadaniu dużo lepszy był Wańka, kolega z ławki, a najlepszy Siwy, którego matka twierdziła, że zostanie profesorem albo księdzem. Bywało, i to dość często, że z rana chciałem paradować w mundurze oficerskim upstrzonym co najmniej czterema gwiazdkami, zaś wieczorem podobало mi się to, czym zajmuje się ginekolog, gdy ogląda u dziewczyn to, czego one się wstydzą. Każdej nocy miałem inne marzenia, ale nigdy nie były to te, które zaprowadziłyby mnie do wielkiego miasta, chociaż z wielkich miast widziałem jedynie Kołobrzeg wtedy, kiedy całą klasą pojechaliśmy nad morze i w drodze powrotnej mieliśmy zobaczyć Wał Pomorski. Wśród nas nie było nikogo, kto nie miał zamiaru rozpostrzeć skrzydeł, wzbić się nad dachy miasteczka i na zawsze wylecieć hen daleko. Adaśko, starszy syn Oliwy, już dumnie defilował w mundurze marynarza. Zawsze usmarkany Kobyła służył do mszy w haftowanej komży i zapewniał nas, że być ministrantem to nic wielkiego, a podczas kolędy sama radocha. Jedne dziewczyny przymierały czepki pielęgniarek, drugie opowiadały, że nie ma to jak kosmetyczka, fryzjerka i nauczycielka. Tylko ja ciągle nosiłem wytarty garniturek ucznia szkoły podstawowej i nie mogłem się zdecydować, kim być, żeby nie harować

jak mama i wujek. W końcu za poradą Pipety, jak przezywałam panią od chemii, samodzielnie i starannie napisałem podanie do III Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Szafera w Gorzowie, dokąd pociągiem z miasteczka jest nie więcej niż czterdzieści minut, ale nie przyszła odpowiedź. Obrażony na wszystkich, a najbardziej na mamę Mili, która była listonoszką, dostałem się do pierwszej klasy Państwowego Technikum Rolniczego im. Osadników Wojskowych w Mieszkowicach i po pięciu latach palenia klubowych w internackiej kotłowni, podglądania dziewcząt w łaźni, pisania listów zaczynających się od zdania „Kochana mamo, dziś otrzymałem jedynkę/dwóję z...”, wbrew matematykowi, katechetce, kierownikowi internatu i na złość mamie wysłałem papiery do uniwersyteckiej komisji kwalifikacyjnej w bardzo wielkim mieście, jakim jest Poznań. Wtedy panowała taka moda, że każdy dyplomowany maturzysta chciał studiować. Wyłączając Wałę, która zaraz po Wielkanocy urodziła bliźniaki i niedługo potem wyszła za strażaka, prawie wszystkie dziewczyny wybierały się na zootechnikę, weterynarię, dietetykę, arborystykę lub pedagogikę. Chłopcy, którzy nie byli piłkarzami, opowiadali, jakie pieniądze będą dostawali po skończeniu politechniki, AWF-u czy szkoły oficerskiej. Z mojej klasy maturalnej niewiele osób miało szczęście zostać inżynierem, trenerem czy podporucznikiem. Teraz chyba wszyscy chodzą z wysoko zadartymi głowami i się cieszą tęgimi/szczupłymi żonami/

mężami, genialnymi dziećmi, willami z panelami fotowoltaicznymi na dachu, samochodami zagranicznych marek i firmami przynoszącymi krociowe zyski. Ja zaś na dnie walizki mam dyplom uniwersytecki, oprawiony w skórę cielęcą, i angaż na jednoosobowe stanowisko kierownika działu zamiejscowego tygodnika „Wieści Lubuskie”, a w głowie kolejkę pomysłów, którymi mógłbym uszczęśliwić kilka miasteczek i redakcji. Moi rówieśnicy bez dyplomów uniwersyteckich są radnymi, członkami stowarzyszeń i fundacji dobroczynnych, strażakami ochotnikami, ratownikami wodnymi, a ja tylko reporterem regionalnego tygodnika, autorem kilku książek dla dzieci w wieku od trzech do sześciu lat, z których jedynie dwie spodobały się wychowawcom przedszkoli i ani jedna recenzentkom.

Rok temu Aludka, przez pięć lat gospodyni mojej klasy w technikum, została wdową. Bardziej z powodu nadmiaru wolnego czasu niż sentymentu do tamtego okresu, bo nie posądzałem jej o poszukiwanie kolejnego małżonka, rozesłała zaproszenia na zjazd absolwentów. Ku jej zaskoczeniu odpowiedzieli prawie wszyscy, którzy jeszcze żyli, nawet Dionizy, wąsaty poseł z ramienia socjaldemokratów, a w czasach przedmaturalnych konus z nosem tak długim i spiczastym, że żadna dziewczyna nie chciała dać się mu pocałować. Jak to zdarza się podczas zjazdu, oprócz stołów zastawionych pełnymi półmiskami, paterami, wazami i butelkami były tańce, tyle że przed północą już nikt nie miał na nie ochoty.

Jak wszyscy absolwenci wędrowałem po sali z butelką w lewej ręce i dwoma kieliszkami w prawej i pytałem dziewczyny, czy jeszcze są mężatkami, ile mają dzieci i co robią. Na dwa pierwsze pytania odpowiadały natychmiast. Na ostatnie wcale albo jakoś tak wykrętnie. Dopiero Aludka ujawniła, że większość spośród nich, mimo że jeszcze nie są babciami, to już mają status emerytek.

– Ty też? – spytałem, na co ona odpowiedziała kiwnięciem głową. Aludka była tą, z którą straciłem cnotę, do czego nie przyznałem się, ale ona pewnie się tego domyśliła. – Przecież żeby być na emeryturze, kobieta musi mieć co najmniej sześćdziesiąt lat, a tobie jeszcze dużo brakuje.

– Są zawody, gdzie obowiązują przepisy szczególne – wyrecytowała z taką pewnością, że wybałuszyłem oczy. Widząc to, przywołała tancerki i tancerzy, kaskaderów i ekwilibrystów, pilotów, którzy mogą zostać emerytami wcześniej niż inni śmiertelnicy. – Wyobrażasz sobie sześćdziesięcioletniego akrobatę fikającego koziołki jak młodzieniaszek? Poszedłbyś do baletu oglądać pięćdziesięcioletnią tancerkę z rozstępami na udach? – spytała i nie czekając na moją odpowiedź, dodała: – Do niedawna prawo dopuszczało przejście policjanta w stan spoczynku, czyli na emeryturę, po piętnastu latach służby.

– Nie wiedziałem, że służyłaś w policji.

– Bo nie służyłam.

– To...? – zacząłem i urwałem. Przecież Aludka nie była tancerką, akrobatką, gimnastyczką. A może jednak była? Wtedy, kiedy straciłem z nią cnotę, wywijala mną jak kaskaderka. – Prawda, skakałaś z kwiatka na kwiatek... – nie dokończyłem, zgaszony jej wynoszącym się spojrzeniem.

Wzięła mnie pod ramię, wyprowadziła na taras i przypomniała, że zdawała na weterynarię. Oblała egzamin z biologii.

– I dobrze, że tak się stało. Gdybym skończyła studia weterynaryjne, musiałabym być lekarką aż do śmierci. Lekarz czy weterynarz nawet na emeryturze jest lekarzem. – Chciałem powiedzieć, że minęły czasy siłaczek, lecz Aludka nie pozwoliła mi na otworenie ust. – Akurat zamieniali Służbę Bezpieczeństwa na Urząd Ochrony Państwa, to znaczy na ABW, jak się wtedy mówiło – na „Abwerę”. Po weryfikacji pracowników dawnej bezpieki brakowało im ludzi do roboty, wyciągali więc ręce po każdą osobę z maturą. Najpierw kierowali na przeszkolenie, a potem tych, którzy się sprawdzili, na studia zaoczne w swojej akademii. Czym dokładnie się zajmowałam, nie pytaj, bo nie odpowiem. Tajemnica aż do grobowej deski. Mój mąż też nie wiedział. W każdym razie po piętnastu latach służby miałam prawo przejść w stan spoczynku, z czego skorzystałam.

– Wcześniej zostałam emerytką.

– I jeszcze wcześniej wdową – wychrypiała. – Nie tylko ja. To znaczy wdową tylko ja. – Już chciałem ją

pocieszyć, gdy zaczęła mówić, że w „Abwerze” było więcej osób z naszej klasy. Ich imion nie podała. – Niektórzy, ale to też tajemnica służbowa, zaczęli współpracę jeszcze w technikum.

– Na przykład Bajbus – rzuciłem niepewnie.

Aludka nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Wzięła mnie pod rękę i przytuliła się do mojego ramienia, a zanim wróciliśmy do sali, zapytała, czy mam gdzie przenocować.

– Bo jeśli nie... Gdybyś... Mieszkam w domu po rodzicach. Ulica Moryńska sześć.

– Pamiętam.

– Na śniadanie mogę usmażyć ci taką jajecznicę, że... A i jako kochanka jeszcze coś potrafię.

Spis treści

I	8
II	26
III	48
IV	73
V	89
VI	111
VII	131
VIII	150
IX	159
X	188
XI	209
XII	216
XIII	229
XIV	245
XV	252
XVI	273
XVII	290
XVIII	299
XIX	311
XX	319
XXI	329
XXII	349
XXIII	366
XXIV	381
XXV	393